



Amfetamina

Stefania

Jagielnicka



Stefania Jagielnicka
„Amfetamina”

Copyright © by **Stefania Jagielnicka**, 2016
Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.**, 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana
i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: **Jacek Antoniewski**
Projekt okładki: **Robert Rumak**
Korekta: **Janusz Sigismund**
Ilustracje na okładce: © **a_khachatryan, Maxim Vlasenko – Fotolia.com**

ISBN: 978-83-7900-640-3

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin
tel. 63 242 02 02
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Spis treści

Rozdział 1	5
Wszystko dla kariery	
Rozdział 2	26
Ekstrawagancka przyjaciółka	
Rozdział 3	31
Sam na sam z diabłem	
Rozdział 4	45
Burza zmysłów	
Rozdział 5	56
W siódmym niebie	
Rozdział 6	69
Wszystko dla rodziny	
Rozdział 7	94
W amoku	
Rozdział 8	106
Pod skrzydłami matki	
Rozdział 9	117
Śmierć pulsująca życiem	
Rozdział 10.	124
Pod wpływem matki	
Rozdział 11.	130
Dziwna pielgrzymka	
Rozdział 12.	137
Nowa miłość	
Rozdział 13.	146
Alkoholik	
Rozdział 14.	152
Niewierny kochanek	
Rozdział 15.	156
Baba Jaga	

Rozdział 16.	164
Tragiczny wypadek	
Rozdział 17.	172
Perły	
Rozdział 18.	181
Biesy i anioły	
Rozdział 19.	205
Podejrzana wspólnota	
Rozdział 20.	222
Szokujące odkrycie	
Rozdział 21.	249
Oprzytomnienie	
Rozdział 22.	263
Przyływ fali namiętności	
Rozdział 23.	268
Toksyczna miłość	
Rozdział 24.	278
Gordyjski węzeł	
Rozdział 25.	283
Wtajemniczenie	
Rozdział 26.	298
Wyrzeczenie	
Rozdział 27.	307
Czucie i wiara	
Rozdział 28.	313
Wyuzdany seks	
Rozdział 29.	322
Medytacja	
Rozdział 30.	333
Kosmiczna świadomość	
Rozdział 31.	346
Sygnał z zaświatów	

Rozdział 1

Wszystko dla kariery

I za, w jedwabnym, amarantowym, lekkim szlafrocuku, siedziała na tarasie w bezpiecznym cieniu opuszczonej pasiastej markizy i popijała kawę. Była wyjątkowo urodziwą kobietą, obdarzoną piękną twarzą z ogromnymi malachitowymi oczyma, małym noskiem, dużymi ustami i burzą włosów w miodowym kolorze. Założywszy długie, zgrabne nogi jedna na drugą, otępiąłym wzrokiem patrzyła na klomby kwiatów w ogrodzie pieszczone słońcem. Po jej policzkach spływały łzy. Wsluchiwała się w radosny świergot ptaków, jednak ich pogodne gaworzenie nie było w stanie jej pocieszyć.

Wtem rozległo się wołanie kukułki. Zawsze słuchała go z przyjemnością. Jednak tym razem pokręciła głową z dezaprobatą. Te cholerne samce nawołują biedne samiczki, zapładniają je i zostawiają bezradne wobec konieczności wybudowania gniazda i karmienia potomstwa, myślała z sarkazmem. Nie dziwota, że one podrzucają jaja do cudzych gniazd. Inne ptaki budują dla samic gniazdko, a potem wspólnie karmią pisklęta. Na przykład dzięcioł nawet, na zmianę z samicą, wysiaduje jajka... A swoją drogą straszne puszczalskie z tych kukulek – uśmiechnęła się przez łzy. Podobnie jak ja.

Ona była od nich mądrzejsza. W ogóle nie rodziła. Po pierwszej wpadce usunęła ciążę i zabezpieczyła się spiralą. Nigdy nie pragnęła dziecka. Palcami starła z policzków łzy i kontynuowała sprowokowane kukaniem rozmyślanie.

Co za bzdura z tym instynktem macierzyńskim, myślała z goryczą. Męczy się człowiek podczas ciąży, naraża się na straszliwe cierpienia w czasie porodu, a nawet ryzyko śmierci, potem wyrzeka się wszelkich przyjemności, nie sypia po nocach, boryka się z wychowywaniem dziecka, nawet na starość nie ma spokoju, bo musi niańczyć wnuki. Nie, to nie dla mnie.

Nie zazdrościła koleżankom satysfakcji z dorastających dzieci, gdyż wiedziała, jaką cenę za to płaciły. Tak samo nigdy nie chciała wyjść za mąż. Miała zbyt niezależny charakter, aby godzić się z ograniczeniami wynikającymi z małżeństwa. Oczywiście jako młoda dziewczyna marzyła o wielkiej miłości uwieńczonej ślubem w białej sukni, ale wybiła to sobie z głowy, gdy postanowiła zostać śpiewaczką operową.

Nagle rozplakała się na głos. Wciąż się okłamuję, myślała ze smutkiem. Gdybym wtedy nie usunęła ciąży, znalazłabym teraz oparcie w dorosłej córce lub synu... A tak... Jestem zupełnie sama... Inaczej potoczyłoby się moje życie, gdybym wyszła za Michała... Jestem bez serca. Zła, egoistyczna, rozwiązała. Liczy się dla mnie tylko kariera.

Wtem stanął przed nią jak żywy. Z twarzą wykrzywioną bólem. Taki, jakiego widziała po raz ostatni.

– Michał – wyszeptwała. – Ty jeden kochałeś mnie prawdziwie. Czy możesz mi wybaczyć?

– Nigdy ci nie wybaczę – usłyszała w myślach jego stłumiony głos. – Zabiłaś nasze dziecko... Do końca życia będę cię prześladował. Nigdy o mnie nie zapomnisz. Bóg ci tego nie wybaczy.

– Wiem. Sama sobie nigdy nie wybaczę.

Obraz znikł. Przetarła oczy, zerwała się na równe nogi i wróciła do salonu. Dobrze się w nim czuła. Samodzielnie zaaranżowała to wnętrze. Pokój był duży, więc zmieściła w nim sporo mebli zapewniających komfortowy wypoczynek. Oprócz przepastnej kanapy i foteli stała tu jeszcze leżanka. Wystrój salonu utrzymany był w jednorodnym, eleganckim francuskim stylu. Meble w kolorze kości słoniowej przyciągały wzrok wyrafinowanymi szczegółami, wygięciem nóżek foteli, falistym kształtem oparcia kanapy. Uwagę zwracały też starannie dobrane dekoracyjne drobiazgi, piękne tkaniny, a przede wszystkim delikatna kolorystyka. Poza obrazami nie było tu zbyt wielu barw. Za to całe bogactwo odcieni, co decydowało o urodzie wnętrza. Ściany były pomalowane w oliwkowo-beżowe pasy. Po obu stronach kanapy stały stoliki pomocnicze, a na nich wyeksponowane dekoracyjne bibeloty, które zakupiła w antykwariacie w Wiedniu. Motyw pasów ozdabiał też poduszki ułożone na leżance. Kanapa i fotele obite aksamitem o barwie zszarzałego bakłażana stanowiły jedyny mocniejszy kolorystycznie akcent. Afgański dywan w delikatnym oliwkowym kolorze w blade różowo-zielone wzory stwarzał przytulną atmosferę. Na oszklonej ścianie z drzwiami wychodzącymi na taras wisały starannie udrapowane, różowe jedwabne zasłony i białe muślinowe firany. Przeciwległa ściana oklejona była połyskującą tapetą. Jej wzór – liście

akantu – nawiązywał do motywów dekoracyjnych popularnych w okresie baroku. Całości dopełniały stylowe, pozłacane lampy. Całe to duże wnętrze ożywiały donice egzotycznych roślin: różnych rodzajów palm, kaktusów i ogromny fikus. Na dużym mozaikowym stoliku okolicznościowym stał półkolista, kryształowy wazon, wypełniony niezliczoną ilością, zawsze świeżych szkarłatnych róż.

Fortepian, nuty, książki, CD i inne ważne w jej zawodzie rzeczy miała w innym pokoju, który nazywała muzycznym.

Wyjęła z barku butelkę koniaku, wlała do połowy kieliszka i lyknęła sporo. Usiadła na sofie, czując lekkie zamroczenie. Patrząc na wiszący na przeciwległej ścianie swój portret, namalowany przez Michała, pogrążyła się we wspomnieniach.

Była wówczas początkującą śpiewaczką. Właśnie uśmiechnęło się do niej szczęście. Powierzono jej tytułową rolę w „Tosce”. Odniosła sukces. Po którymś z rzędu, gorąco oklaskiwanym spektaklu siedziała uszczęśliwiona w garderobie i ścierała z twarzy charakteryzację, gdy usłyszała delikatne pukanie.

– Proszę. – Ciekawa była nowego wielbiciela.

W drzwiach ukazał się... archanioł Michał. Młody mężczyzna miał niemal taką samą twarz, jaką niedawno widziała na fresku Bronzina w kaplicy Palazzo Vecchio we Florencji. Kręcone, jasne włosy o rdzawym odcieniu i rzymski profil. Promieniował jakimś wewnętrznym światłem, które przedostawało się przez jego jasne, wyraziste oczy. Bił z nich taki blask, jakby do pomieszczenia wdarł się nagle snop światła. W ręku jednak nie trzymał

miecza, lecz ogromny bukiet jej ulubionych szkarłatnych róż.

– Nie przeszkadzam? – spytał ciepłym barytonem.
– Chciałbym wręczyć pani te kwiaty jako wyraz uwielbienia. Od premiery, podczas której doznałem olśnienia, byłem na każdym przedstawieniu „Toski” i w końcu pozwoliłem sobie na ten skromny dowód oczarowania. Jestem malarzem. Marzę o tym, by namalować pani portret. Nazywam się Michał Potocki.

– Cha, cha, cha – roześmiała się ubawiona. – To dlatego skojarzył mi się pan w pierwszej chwili z archaniołem Michałem.

– Wiem, że jutro ma pani wolny wieczór. Chciałbym...
– przerwał i uśmiechnął się przepaszająco. – Właściwie nie śmiem... zaprosić pani na kolację do Hotelu Francuskiego. Zamówiłem już stół. Proszę się zgodzić. – Złożył ręce w błagalnym geście.

Zmierzyła go od stóp do głów. Spodobał się jej. Miał na sobie granatowy garnitur i bładoniebieską koszulę z wykwintnym jedwabnym krawatem. Większość bywalców opery ubierała się starannie, ale jego rzeczy wyróżniały się wyszukaną elegancją. Świetnie skrojony z najwyższej jakości materiału garnitur idealnie na nim leżał, koszula i krawat były również w najlepszym gatunku. Nie wyglądał jak malarz epatujący artystycznym wyglądem, lecz czynił wrażenie arystokraty. Jego postawa, wyraz twarzy i gesty miały w sobie coś szlachetnego.

– Dziękuję. Przyjmuję zaproszenie – rzekła z czarującym uśmiechem.

– Uszczęśliwiła mnie pani. Zatem do jutra o dziewiętnastej w Hotelu Francuskim, jeśli odpowiada pani ta pora.

– Jak najbardziej. Do jutra. Podała mu rękę, którą ucałował z szacunkiem.

Czekał na nią w hallu. Na przywitanie znowu ucałował jej dłoń i wprowadził ją do restauracji. Usiedli przy zarezerwowanym stoliku, na którym stał oryginalny bukiet składający się przeróżnych gatunków kwiatów.

– Te kwiaty to dla pani – uśmiechnął się do niej promiennie.

– Przepiękne! – Zachwyciła się, delikatnie dotykając płatków. – Ślicznie dziękuję. Sprawił mi pan nimi ogromną przyjemność.

Była oczarowana. Poczula się jak we śnie i podczas całej kolacji to uczucie jej nie opuszczało.

– Musiałem panią poznać – powiedział, ujmując jej dłoń. – Od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzałem panią na scenie, wciąż miałem przed oczyma pani twarz.

– Dziękuję. Jest pan bardzo miły. Cieszę się, że zrobiłam na panu takie wrażenie.

– Pozwoliłem sobie wcześniej zamówić menu, by zrobić pani niespodziankę – rzekł, patrząc jej niepewnie w oczy.

– Mam nadzieję, że nie zawiedzie panią mój wybór.

Gdy kelner podał na wstępie zamówionego szampana, Iza zaproponowała mu bruderszaft. Z radością podjął tę propozycję. Wstał, ona również, skrzyżowali ramiona, on spojrzał jej wymownie w oczy i po upiciu trunku namiętnie pocałował. Poczula coś w rodzaju pełnego pożądania zawrotu głowy. Pomyślała, że chyba już tej nocy pójdzie z nim do łóżka.

W tym momencie pojawiły się na stole przystawki: pasztet z gęsi z jabłkami i sosem porzeczkowym, a także

kozi ser przekładany burakami ze wstążkami z ogórka i francuskie białe wino. Zabrali się do jedzenia smakowitych potraw.

– Opowiedz mi coś o sobie. Pochodzisz z arystokratycznej rodziny, prawda? – spytała.

– Skąd wiesz?

– To widać.

– Co widać? Nie różnię się niczym szczególnym.

– O, mylisz się. To się od razu rzuca w oczy.

– Mój Boże – wzruszył ramionami. – Jakie to ma znaczenie? Jesteśmy takimi samymi ludźmi jak wszyscy inni. Dziadkowie mieszkali w bloku, w małym mieszkaniu, ledwo wiązali koniec z końcem. Ojciec miał ze względu na pochodzenie trudności z dostaniem się na studia. Zanim mu się to udało, pracował na budowie. Dorobił się ciężką pracą i talentem. Jest wybitnym architektem, wygrywa międzynarodowe konkursy. A matka pochodzi ze skromnej rodziny. Jej rodzice oboje byli nauczycielami.

– Jednak... arystokrata to brzmi dumnie – zauważyła nieśmiało.

– Cha, cha, cha – roześmiał się Michał.

– Z czego się śmiejesz? Mówię poważnie.

– Właśnie przeczytałem świetną książkę pewnego polskiego arystokraty, w której zawarł on całkiem przeciwną tezę. Wprawdzie autor Andrew Tarnowski jest bardziej Brytyjczykiem niż Polakiem, ale zarówno jego osobiste wspomnienia, jak też opowieści rodzinne sprawiają, że jego książka jest znakomitym dokumentem upadku polskiej magnaterii w XX stuleciu.

– A to ciekawe – zainteresowała się. – Opowiedz dokładniej, o czym jest ta książka.

– Opisuje wojenne i powojenne dzieje rodu Tarnowskich i stanowi gorzkie rozliczenie z arystokratycznymi mitami – mówił między jednym a drugim kęsem. – Jest to w zasadzie życiorys ojca autora, Stanisława – barwny i obyczajowo niejednoznaczny. Arystokraci są w tej książce przedstawieni jako normalni ludzie, którzy kochają, zdradzają, kłamią, sprzeniewierzają się swojemu etosowi. Ojciec autora nie był święty, ale niezależnie od wad i przywar uczynił sporo dobrego dla Polski. I co ciekawe, po wojnie jako jedyny z licznych arystokratów, którzy opuścili kraj wraz z jej wybuchem, podjął decyzję powrotu, choć uważany był przez komunistów za wroga.

Iza słuchała w skupieniu z ogromnym zainteresowaniem. Imponowało jej pochodzenie Michała. Przyprawiło o lekki zamęt w głowie. Po raz pierwszy w życiu poznała kogoś takiego.

– Inni nie wierzyli w zapewnienia komunistów – kontynuował – że każdy Polak powracający z zagranicy będzie mile widziany. Jednak Tarnowski przyjechał, i to nie z pustymi rękoma. Przywiózł ze sobą skarb, z którym się nie rozstawał – sztandar króla szwedzkiego Karola Gustawa z czasów potopu, by podarować go wawelskiej katedrze. Niestety, w Londynie potępiono go za ten czyn. Potraktowano jego gest jako zdradę...

– Poczekaj – przerwała mu – przecież w Polsce pozostało wielu arystokratów, jak chociażby twoi dziadkowie, przeżyli lata okupacji i nie zamierzali opuszczać ojczyzny. Więc nie rozumiem, dlaczego powrót do ojczyzny miałby stanowić zdradę.

– Pozostali ci najodważniejsi, bo przynajmniej początkowo władze nie patyczkowały się z „panami”. Jednym

przypisywano skłonności antypaństwowe, innym zaś kolaborację z Niemcami. Na przykład Janusz Radziwiłł po wybuchu wojny został aresztowany przez NKWD i trafił na Łubiankę. Chodziło o to, że w czterdziestym roku wyjechał do Berlina, by rozmawiać z marszałkiem Rzeszy Goeringiem o możliwości złagodzenia represji okupanta wobec Polaków. Dla komunistów było oczywiste, że kolaborował z faszystami. Po czterdziestym piątym znowu został zatrzymany, tym razem przez polską bezpiekę. Spędził w PRL-owskim więzieniu kilka lat.

– Ale co się stało z Tarnowskim?

– Wyobraź sobie, że władze obeszły się z nim łagodnie. Dostał od państwa dwupokojowe mieszkanie na Mokotowie. Tylko wcześniej musiał się zrzec praw do pałacu Przebendowskich, imponującej rezydencji w samym centrum Warszawy. Pałac był zniszczony. To fakt. Władze go odbudowały. Ale czy to dobry interes oddać pałac za M-3? Intencją władz było, aby budynek ten przestał się kojarzyć z arystokracją, ulokowano w nim Muzeum Lenina.

– Musisz przyznać – przerwała mu – że utrata arystokracji była wielką szkodą dla powojennej Polski.

Michał wzruszył lekceważąco ramionami.

– Nie da się powiedzieć o historii, że jest dobra bądź zła – zauważył filozoficznie. – Ona po prostu jest, jaka jest. Czasy się zmieniają i nie ma sensu żałować czegoś, co należy wyłącznie do przeszłości. Nie umiem – i nikt tego nie umie – odpowiedzieć na pytanie, czy Polska, w której arystokracja odgrywałaby znaczącą rolę, byłaby lepsza.

– Jednak dziś odzywają się arystokratyczne sentymenty – upierała się Iza. – Potomkowie sławnych rodów

organizują zjazdy, a dzieci najbogatszych biznesmenów żenią się z arystokratami, bo to podnosi prestiż rodziny.

– Moim zdaniem, przy wyborze życiowego partnera należy się kierować zupełnie innymi kryteriami niż pochodzenie. Można źle trafić i zmarnować sobie życie. Ważne jest to, co kto sobą reprezentuje, a nie jakie ma nazwisko. A co do tych, którzy podkreślają swoje arcyślacheckie korzenie – to ich problem. Muszą sobie jakoś z nim poradzić... W małżeństwie należy wierzyć w te same rzeczy, mieć podobny system wartości. Trzeba w ten sam sposób postrzegać świat, mieć podobne ideały. Liczy się to, aby ten drugi człowiek, z którym się jest, był mądry i dobry. No i przede wszystkim, na pierwszym miejscu jest miłość! – Przy słowie „miłość” spojrział jej wymownie w oczy.

– Ale nie powiesz mi chyba, że dla ciebie twoje pochodzenie nie ma żadnego znaczenia – wciąż się upierała.

– Coraz to mniejsze – zapewnił. – Kiedyś było inaczej. Dla pokolenia moich rodziców arystokrata był postacią niejako mityczną i jednocześnie opoką, na której opierała się cała nasza imponująca przeszłość, co wiedzieli chociażby z opowieści rodzinnych snuty w długie jesienne wieczory.

Iza przestała jeść, tak bardzo fascynowało ją to, co mówił. A on między jednym a drugim kęsem ciągnął dalej:

– Ja też niegdyś wierzyłem w arystokrację. W dzieciństwie była dla mnie świetlistą gwiazdą w szarości codziennego życia. Już samo słowo pachniało wiecznym słońcem, morską bryzą i wielką przeszłością. Była w nim swoista moc, która oparła się wszelkim uniformizującym zabiegom komunistów, ale też i baśń rozlana jak nektar

na wszechobecnym szaleństwie świata... Uważać się za spadkobiercę arystokracji, naturalnie głównie duchowego, znaczyło mieć własną godność, co wpajano mi od małego. Być nade wszystko niezależnym w smakach i sądach...

Przerwał na chwilę, podziwiając piękną twarz zasłuchanej kobiety.

– W naszym środowisku wierzone – ciągnął dalej – że mimo wielu zastrzeżeń, naród pozostawił arystokracji depozyt historycznej wielkości i że tylko z niego mogą czerpać przyszłe pokolenia. Wierzyliśmy, że polska arystokracja ocalała, że cierpi na obczyźnie, a także, tak jak my tu w kraju, w ukryciu, i że mimo chwilowej nieobecności w naszej codzienności, jest naszym ostatnim bastionem walki o normalność. Tym bardziej, że odczuwaliśmy wielką pustkę po inteligencji wymordowanej przez okupantów i własnych renegatów. Patrzyliśmy na obracaną wniwecz kulturę naszych pradziadów, dostrzegaliśmy widmo całkowitej utraty wartości spajających przez wieki naród. Bajaliśmy, że kiedy tylko nadarzy się możliwość, powróci nasz największy skarb narodowy, a wtedy – odetchniemy z ulgą. Nie do końca wierzyliśmy, że arystokracja polska powróci w chwale na białym koniu, ale wierzyliśmy zawsze mocno, że powróci. Otóż... nie powróciła. Po roku osiemdziesiątym dziewiątym nie tylko nie wróciła wyczekiwana od lat dawna Polska, nawet ta sprzed trzydziestego dziewiątego roku, ale też – i to jest znaczące – nie pojawiła się w tej niby nowej rzeczywistości ta warstwa, w której dziejowe posłannictwo tak mocno wierzyliśmy. Nie tyle w sensie nazwisk, co głównie w sensie działań. Na obczyźnie przetrwały

nasze największe rody, te które przez wieki czerpały najwięcej dóbr z polskiego narodu. Jednak nie włączyły się w tak zwaną transformację. Czyżby były aż tak spauperyzowane, czy też... aż tak wynarodowione, że nic co rzeczywiście polskie nie jest im bliskie...?

Przerwał, żując powoli kęs kuropatwy.

– Cóż – podjął po chwili – polityka przestała być domeną arystokracji, jej potomkowie najczęściej spełniają się w artystycznych zawodach, są też wśród nich naukowcy, niektórzy zajmują się biznesem. W Polsce są utożsamiający się z PiS-em, Radiem Maryja, ale są też nastawieni lewicowo. Moja rodzina stała się politycznie neutralna. Owszem, interesujemy się polityką, ale w skali międzynarodowej.

Iza patrzyła w niego jak w obraz. Chłonęła każde jego słowo.

– Nie wiem – kontynuował – i szczerze powiem, że nie rozumiem albo nie chcę zrozumieć, bo coraz częściej wydaje mi się teraz, że arystokratyzm jest tylko swoistą pozą. A może to tylko taka złudna figura retoryczna? Może nigdy nie było polskiej arystokracji?... Powiedz, jakie to może mieć znaczenie dla ciebie i dla mnie... To moje pochodzenie. Dajmy sobie z tym spokój – machnął ręką lekceważąco. – Porozmawiajmy lepiej o operze. Uwielbiam ten świat mocnych uczuć płynących wprost z serca. Wydaje mi się, że jeśli ktoś nie lubi opery, to nie zna prawdziwej miłości – zaczerwienił się w tym momencie jak panienka, zawstydzony tym, co powiedział.

– Zgadza się. Też tak uważam. Sądzę, że dlatego nigdy dotąd nie znalazłam prawdziwej miłości, bo nie trafiłam na kogoś takiego jak ty – rzekła bez skrępowania.

– Od razu wyczułam w tobie to bogactwo, bo muzyka operowa obdarza nas skarbami wrażeń. Współczuję ludziom, dla których ten świat jest zamknięty. Są ubożsi o całe pokłady doznań, o poczucie szczęścia, które daje obcowanie z operą.

Spojrzała mu głęboko w oczy płomiennym wzrokiem, a on znowu spłonął rumieńcem. Był w siódmym niebie. Tak to sobie wymarzył. – Uszczęśliwiasz mnie – rzekł. – Moje pragnienie miłości też rozbijało się wiecznie o mur seksu bez uczucia.

– Powiedz mi, jaką operę lubisz najbardziej – spytała.

– Właśnie „Toskę”.

– Należy ona również do moich ulubionych, chociaż najbliższe są mi opery francuskich kompozytorów Gounoda, Masseneta, Bizeta, Thomasa.

– O tak. To muzyka niezwykłej urody, sentymentalizm i patos najwyższej próby, w doskonałym guście. Francuzi mają świetne wycucie dobrego smaku w każdej dziedzinie.

– Cieszę się, że podzielasz moje zdanie. Najbardziej lubię „Fausta” Gounoda. Może dlatego że była to pierwsza opera, którą zobaczyłam i potem całą noc nie spałam z wrażenia.

Zaczęli dyskutować o słynnych śpiewakach i ani słowa nie zamienili na temat smakowitych potraw, gdyż rozmowa pochłonęła ich całkowicie. Oddali się luźnej pogawędce, w której on sypał dykteryjkami. Raz po raz wybuchali radosnym śmiechem. W sercu Izy szalała burza uczuć pobudzających jej zmysły.

Gdy skończyli jeść, Michał spytał ją, czy zna Cage Kabaret i czy nie poszłaby z nim potańczyć. Marzył o tym,

by dotknąć jej obnażonych pleców, przytulić się do niej, poczuć zapach jej włosów.

Nigdy tam nie była i chętnie zgodziła się na tańce. Przepeniała ją poczucie szczęścia, gdy szli przez miasto, przytuleni do siebie. Kiedy ją objął, ciarki przeszły jej po plecach. Na rynku przystanęli na moment, podziwiając urok wyeksponowanych oświetleniem starych kamienic, a zwłaszcza niepowtarzalnych sylwetek bazyliki Mariackiej i Sukiennic. Chłonęli ekscytującą atmosferę wypełnionych po brzegi tarasów kawiarni, z których dochodził pomruk ściszonych rozmów i śmiechu tłumionego jakby w obawie, by nie przysł czar tego magicznego miejsca. Oboje bardzo je lubili.

Gdy znaleźli się w lokalu, Iza rozejrzała się ciekawie. W jednej z sal wisiały na ścianie pastisze „Pocałunku”, „Dziewczyny w kwiatach” i słynnej „Judith” słynnego austriackiego malarza Gustawa Klimta. W sąsiedniej natomiast mieścił się portret jaśnie panującego cesarza Franciszka Józefa z jednej strony, a z drugiej rozneglizowane kokoty, które zachęcająco spoglądały z sufitu.

– Chciałem, żebyś poczuła się trochę jak w Wiedniu. To moje ulubione miasto. Jeżdżę czasami z rodzicami do tamtejszej opery – powiedział Michał.

– Ja też tam byłam parę razy. Marzę o tym, by kiedyś stanąć na jej deskach.

– Jestem przekonany, że spełni ci się to marzenie. Podoba ci się tu?

– Bardzo – powiedziała oczarowana atmosferą lokalu i towarzystwem. – Istotnie, odnoszę wrażenie, że jestem w Wiedniu.

Usiedli w kącie. Popijali szampana w milczeniu, wpatrzeni w siebie, wzajemnie sobą oczarowani. Czują, jak

przez cały czas pytająco wwiercały się w nią jego jasne oczy. Kiedy ją spytał: „zatańczymy?”, jej „tak” znaczyło coś więcej. Taniec jej nie wystarczał. Był przedsmakiem bardziej namiętnych uścisków.

Gdy objął ją na parkiecie, ogarnęło ją ciepło jego ciała, jak magnes przyciągającego ją podczas kolacji. Wtuliła się w jego ramiona, a on pochylił głowę i zbliżył usta do jej włosów. Dotyk jego dłoni napełniał ją błogością, a dotyk drugiej, obejmującej czule jej obnażone plecy, wywoływał dreszcz, który raz po raz przeszywał ją aż do stóp. Oboje byli wzruszeni. W jej oczach pojawiły się łzy szczęścia. Nigdy dotąd nie przypuszczała, że można doznać takiego oczarowania, że bliskość jakiegoś mężczyzny może być czymś tak cudownym. W niczyich ramionach nigdy dotąd nie czuła się tak bezpiecznie. Nie musieli przekrzykiwać muzyki, gdyż szeptał jej wprost do ucha, zbliżając następnie swoje ucho do jej warg, by usłyszeć odpowiedź. Ich serca płonęły jak dwie pochodnie. Nie istniał dla nich tłum rozozoconych, potrącających ich par. Tańczyli do upadłego. Ich kroki zgadzały się idealnie, chociaż z wrażenia ugięły się pod nią nogi...

Przestała patrzeć na portret. Zamknęła oczy. Znajdowała się poza przestrzenią i czasem minionych dwudziestu lat. Rozpamiętywała tkliwość jego palców nawet w przelotnym dotyku, jego mocne uściski, jego dłonie na swoich ramionach i plecach, gwałtowne usta szukające jej ust, gonitwę dzikich pocałunków, na policzkach, na szyi, na ramionach, na piersiach, na całym drżącym z rozkoszy ciele... Czuła ogień jego gorących pieśczoł, wypalonych na jej skórze, pocałunki wysysające z ust

westchnienia i jęki, rozkosz żądzы własnych warg, upojenie tą płomienną grą. W uszach jej brzmiały magiczne słowa, którymi obsypywał ją podczas ich cudownych nocy... Ogarnął ją żal za utraconym rajem. Poczula pchnięcie w serce i otworzyła oczy.

To była miłość jej życia. Kochali się szalenie. On nosił ją na rękach, strzepywał pyłki spod jej stóp, spełniał wszystkie jej zachcianki i kaprysy. Pod wpływem jego uwielbienia kwitła jak kwiat pod wpływem słonecznych promieni. Rozwijała się jako artystka. Stała się wielką gwiazdą. Wreszcie spełniło się jej największe marzenie. Podpisała roczny kontrakt na przyszły sezon ze słynną *Staatsoper* w Wiedniu. Gdy zaszła w ciążę, ogarnęła ją wściekłość. Wpadła w furię.

– Ty kanalio! – krzyczała przez telefon do Michała.
– Dlaczego nie uważałeś?

– Zrobiłem to celowo – rzekł spokojnie. – Może teraz wreszcie zgodzisz się zostać moją żoną? Pobierzemy się, urodzisz dziecko i razem z nim wyjedziemy do Wiednia.

– Jak mogłeś?! Usunę tę ciążę! – Trzasnęła słuchawką.

Natychmiast zjawił się u niej. Padł na kolana i zaczął ją całować po rękach.

– Błagam cię, nie rób tego. Będę zajmował się dzieckiem, ty tylko je urodzisz – przekonywał ją. – Tak wiele wybitnych śpiewaczek urodziło dzieci i nie przeszkodziło im to w karierze.

Odepchnęła go z krzykiem:

– Wyjdz! Nie chcę cię znać! Między nami wszystko skończone! Nie waż się mnie nachodzić! Nie pokazuj mi się na oczy!

Po dokonaniu aborcji nie miała najmniejszych wyrzutów sumienia. Poczwała się wolna i zrelaksowana. Za rok miała wyjechać do Wiednia. Niby była szczęśliwa, jednak szalenie tęskniła za Michałem.

Niepotrzebnie z nim zerwałam, żałowała. Trzeba było przemilczeć ciążę i usunąć ją bez jego wiedzy. Przecież mogłam się domyślić jego reakcji. Muszę go przeprosić – postanowiła. Przecież go kocham. Nie wyobrażam sobie życia bez niego. Pobierzemy się i razem wyjedziemy do Wiednia.

W tym samym dniu zadzwonił do niej jego brat i drżącym głosem powiadomił ją, że Michał popełnił samobójstwo. Ogarnęła ją szalona rozpacz, wybuchła płaczem i długo nie mogła się uspokoić. Teraz dopiero uświadomiła sobie w całej pełni, jak bardzo go kochała i jaka była z nim szczęśliwa. Szłochała przez cały wieczór, do późnych godzin nocnych, nie była w stanie utulić się w żalu. Wyrzuty sumienia ciążyły jej na sercu jak kamień. W końcu zażyła tabletkę nasenną, ponieważ nazajutrz miała przedstawienie.

Rano okazało się, że straciła głos. Zdarzyło się jej to wtedy po raz pierwszy. Wyszła z tego, lecz w przeddzień wyjazdu do Wiednia powtórzyło się. Pomyślała wówczas, że to kara za zniweczenie tej jedynej, prawdziwej miłości. Od tego czasu coraz częściej przeżywała depresję i utratę głosu.

Wizja Michała grożącego jej, że Bóg jej tego nie wybaczy, poruszyła ją do głębi. Patrzyła na namalowany jego ręką portret, a po policzkach znów zaczęły jej spływać łzy. Ponownie wyjęła z barku butelkę koniaku i wylała

nieco do kieliszka. Upiła tylko, uspokoiła się i wyszła z nim na taras, gdyż wdzierające się do salonu poprzez gałęzie drzew słońce wyciągnęło ją na zewnątrz. Myśli jej powróciły do aktualnej sytuacji.

– Jak ten Przemek mógł mnie teraz opuścić? – szepnęła. – Ależ on jest podły!

Wyjęła z kieszeni szlafroka komórkę i nacisnęła dwójkę. Na ekraniku pojawiło się zdjęcie przystojnego, błękitnookiego blondyna z uśmiechem od ucha do ucha, ukazującym połyskujące bielą zęby.

– Halo – odezwał się melodyjny męski tenor. – Jak się masz, Izuś?

– Fatalnie – odpowiedziała szeptem.

– A co powiedział foniastra?

– Struny są w dobrym stanie... Wiesz, myślałam, że je przeforsowałam, bo ostatnio tak dużo śpiewałam, że mogłam je po prostu nadwerężyć. Ale nie. Są w porządku... To twoja wina, że straciłam głos. Tak, tak, to przez ciebie.

– Przeze mnie, co ty opowiadasz? – Zdumiał się.

– Lekarz powiedział, że to jest związane z psychiką. Gardło jest w porządku.

Rozpłakała się na głos.

– Przyjedź – wyszeptała przez łzy – błagam cię.

– Nie mogę. Wieczorem śpiewam w „Traviacie.” No nie płacz, proszę cię, to ci zaszkodzi – uspokajał ją.

– Jaka ona jest? – spytała z niepokojem. – Lepsza ode mnie, co? Wróżą jej wielką karierę.

– No... jest młoda – odrzekł lakonicznie, starając się ukryć podziw, jaki wzbudzała w nim nowa śpiewaczka, która zajęła miejsce Izy. – Nie obawiaj się. Ty jesteś niezastąpiona.